



Dom Riddle'ów

Mieszkańcy wioski Little Hangleton nadal nazywali go „Domem Riddle'ów”, choć upłynęło już wiele lat, odkąd mieszkała w nim rodzina o tym nazwisku. Stał na wzgórzu ponad wioską. Część okien zabito deskami, w dachu ziały dziury, a na fasadzie rozplecił się bluszcz. Kiedyś piękny dwór, największy i najbardziej okazały budynek w całej okolicy — teraz był ponurą, opuszczoną ruiną.

Mieszkańcy Little Hangleton byli przekonani, że w tym starym domu straszy. Pół wieku temu wydarzyło się w nim coś dziwnego i straszego, coś, o czym starsi lubili rozprawić, kiedy już nie było o kim plotkować. Opowieść tę powtarzano tyle razy i w tak wielu domach, że nikt już nie był pewny, co naprawdę tam się wydarzyło. Każda wersja zaczynała się jednak w tym samym czasie i miejscu: pięćdziesiąt lat temu, pewnego letniego poranka, kiedy Dom Riddle'ów był jeszcze zadbany i zamieszkanym. Tego ranka służąca weszła do salonu i zastała wszystkich troje Riddle'ów martwych.

Dziewczyna pobiegła z krzykiem do wioski i pobudziła tylu ludzi, ilu zdołała.

— Leżą tam z otwartymi szeroko oczami! Zimni jak lód! Nadal w strojach do kolacji!

Wezwano policję, a w całym Little Hangleton zawrzało. Wszyscy wychodzili ze skóry, żeby się czegoś dowiedzieć. Nikt nawet nie próbował udawać, że żałuje Riddle'ów, bo w wiosce nie darzono ich sympatią. Państwo Riddle'owie byli bogatymi, zarozumiałymi snobami, a ich dorosły syn, Tom, był jeszcze gorszy. Wszystkich obchodziła tylko tożsamość mordercy — było bowiem oczywiste, że troje zdrowych ludzi nie mogło umrzeć śmiercią naturalną w ciągu jednej nocy.

Tego wieczoru w miejscowej gospodzie Pod Wisielcem utarg był wyjątkowo wysoki: zeszła się tu cała wioska, by podyskutować o potrójnym morderstwie. Porzucenie wygodnych foteli przed kominkami zostało wynagrodzone, kiedy w gospodzie pojawiła się kucharka Riddle'ów, i w ciszy, która zapadła na jej widok, oznajmiła, że właśnie aresztowano Franka Bryce'a.

— Frank! — zawołało kilka osób. — To niemożliwe!

Frank Bryce był ogrodnikiem Riddle'ów. Mieszkał samotnie w zrujnowanym domku na terenie ich posiadłości. Wrócił z wojny ze sztywną nogą i ogromną niechęcią do tłumu i hałasu, i od tego czasu pracował u Riddle'ów.

W gospodzie zrobił się ruch, bo wszyscy zaczęli stawiać kucharce drinki, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

— Ja tam zawsze uważałam, że on jest jakiś dziwny — oświadczyła po czwartym kieliszku sherry. — Taki odludek. Ze sto razy mu proponowałam, żeby napił się ze mną herbaty, a on zawsze odmawiał. Nie chciał się z nikim zadawać, ot co.

— Trudno się dziwić biedakowi — zauważyła jakaś kobieta stojąca przy barze. — Musiał wiele przeżyć na wojnie, to i chce mieć spokój. Nie widzę powodu, żeby...

— A niby kto prócz niego miał klucz od tylnych drzwi? — warknęła kucharka. — Od kiedy pamiętam, zapasowy klucz zawsze wisiał w domku ogrodnika! Drzwi nie były wyważone! Wszystkie szyby całe! Wystarczyło, że wśliznął się do środka, kiedy wszyscy spali...

Zebrani w gospodzie mieszkańcy wioski wymienili ponure spojrzenia.

— Zawsze uważałem, że jemu źle z oczu patrzy, no i proszę — mruknął mężczyzna przy barze.

— Ta wojna pomieszała mu w głowie, jakby mnie kto pytał — stwierdził właściciel gospody.

— Pamiętasz, Dot, jak ci mówiłam, że co jak co, ale Frankowi tobym nie chciała podpaść? — odezwała się podekscytowana kobieta w kącie.

— Charakterek to on ma — przyznał Dot, potakując skwapliwie. — Pamiętam, kiedy był chłopcem...

Następnego ranka prawie wszyscy mieszkańcy Little Hangleton byli już przekonani, że to Frank Bryce zamordował Riddle'ów.

Tymczasem w pobliskim miasteczku Great Hangleton, na ponurym i obskurnym posterunku policji, Frank uparcie powtarzał, że jest niewinny i że jedyną osobą, którą widział tamtego dnia w pobliżu domu, był jakiś nie znany mu wyrostek, czarnowłosy i blady. Nikt poza nim jednak nie widział chłopaka odpowiadającego rysopisowi, więc policjanci byli przekonani, że Frank po prostu go wymyślił.

I kiedy sytuacja Franka wyglądała już bardzo poważnie, nadszedł protokół oględzin zwłok Riddle'ów, protokół, który zmienił wszystko.

Policjanci jeszcze nigdy nie czytali tak dziwnego orzeczenia. Po zbadaniu ciał zespół lekarzy orzekł, że żadna z ofiar nie została otruta, pchnięta nożem, zastrzelona, zadławiona, uduszona, nie stwierdzono też (przynajmniej w świetle dokonanych przez nich oględzin) żadnych innych uszkodzeń ciał. Wręcz przeciwnie, lekarze z ogromnym zdumieniem stwierdzili, że wszyscy Riddle'owie sprawiali wrażenie całkowicie zdrowych — oczywiście pomijając fakt, że byli martwi. Odnotowali tylko (jakby chcąc za wszelką cenę znaleźć jakąś anomalie), że twarze ofiar zastygły w wyrazie przerażenia. Oczywiście takie stwierdzenie niewiele dało policji, bo czy kto kiedykolwiek słyszał, żeby trzy osoby umarły *ze strachu*?

Ponieważ nie stwierdzono niczego, co by wskazywało na to, że Riddle'owie zostali zamordowani, policja była zmuszona Franka wypuścić. Riddle'ów pochowano na cmentarzu w Little Hangleton, a ich groby przez jakiś czas były obiektem powszechnego zainteresowania. Ku zaskoczeniu wszystkich i w atmosferze podejrzeń Frank Bryce wrócił do domku ogrodnika na terenie posiadłości Riddle'ów.

— Jeśli o mnie chodzi, to mogę się założyć, że to Frank ich zamordował i guzik mnie obchodzi, co na ten temat mówi policja — oświadczył Dot w gospodzie Pod Wisielcem. — I gdyby miał choć odrobinę przyzwoitości, to wyniósłby się stąd, wiedząc, że my o tym wiemy.

Ale Frank nie opuścił wioski. Został, by nadal zajmować się ogrodem, najpierw dla nowej rodziny, która zamieszkała w Domu Riddle'ów, potem dla następnych — bo nikt nie wytrzymał tam długo. Być może częściowo z powodu obecności Franka, każdy nowy właściciel stwierdzał, że w tym domu wyczuwa się coś paskudnego. Opustoszała posiadłość wkrótce zaczęła popadać w ruinę.

*

Ostatni właściciel Domu Riddle'ów ani w nim nie mieszkał, ani go nie wynajmował, a był na tyle bogaty, że mógł sobie na to pozwolić. W wiosce mówiono, że trzyma dom „ze względu na podatki”, choć nikt nie wiedział, na czym to właściwie polega. Płacił jednak Frankowi za dogłądanie ogrodu. Frank zbliżał się do swoich siedemdziesiątych siódmych urodzin, przygłuchł, noga mu jeszcze bardziej zeszywniała, ale nadal, przynajmniej w ładną pogodę, widywano go przy rabatach kwiatów, które zaczęły już zarastać chwastami.

Walczył nie tylko z chwastami. Jego prawdziwym utrapieniem byli chłopcy z wioski. Wybijali szyby w oknach Domu Riddle'ów, jeździli rowerami po trawnikach, których utrzymanie kosztowało Franka tyle trudu. Raz czy dwa włamali się do starego domu, żeby zrobić mu na złość. Wiedzieli, że jest bardzo przywiązany do posiadłości, i sprawiało im uciechę, kiedy kuśtykał przez ogród, wymachując laską i pomstując na nich ochryłym głosem. Jeśli chodzi o samego Franka, to był przekonany, że chłopcy dręczą go złośliwie, bo podobnie jak ich rodzice i dziadkowie uważają go za mordercę. Tak więc, kiedy pewnej sierpniowej nocy obudził się i zobaczył, że w starym domu dzieje się coś dziwnego, uznał to za jakiś nowy wybryk łobuziaków, pragnących go ukarać za domniemaną zbrodnię.

Obudził go rwący ból w nodze, tak silny, że podobnego jeszcze nie doznał w swym podeszłym wieku. Wstał i szedł na dół do kuchni, zamierzając zmienić wodę w butelce, którą ogrzewał kolano, by złagodzić bolesną sztywność. Stojąc przy zlewie i napełniając czajnik, spojrzął na Dom Riddle'ów i zobaczył migające na piętrze światło. Od razu

pomyślał, że to ci nieznośni chłopcy włamali się znowu do domu, a sądząc po migotaniu światła, na pewno go podpalili.

Frank nie miał telefonu, a zresztą i tak nie ufał policji od czasu, gdy go aresztowano i przesłuchiowano w sprawie śmierci Riddle'ów. Natychmiast odstawił czajnik, wdrapał się po schodach na górę tak szybko, jak mu na to pozwalała sztywna noga, ubrał się i wrócił na dół. Zdjął z haka przy drzwiach zardzewiały klucz, chwycił opartą o ścianę laskę i wyszedł w ciemną noc.

Na frontowych drzwiach Domu Riddle'ów nie odkrył śladów włamania, podobnie jak na żadnym z okien. Pokuśtykał na tył domu i dotarł do drugich drzwi, prawie całkowicie ukrytych pod bluszczem, wyjął stary klucz, wsunął go w dziurkę i cicho je otworzył.

Wszedł do dużej, mrocznej kuchni. Było bardzo ciemno, ale choć nie zaglądał tu od lat, pamiętał, gdzie są drzwi do przedpokoju, więc ruszył ku nim, czując wstrętą woń rozkładu, i wytyżając słuch, by wyłować jakikolwiek dźwięk dochodzący z góry. W przedpokoju było nieco jaśniej, ponieważ po obu stronach drzwi frontowych były duże okna przedzielone w środku kamiennymi słupkami. Zaczął się wspinać po schodach, błogosławiąc grubą warstwę kurzu pokrywającego kamienne stopnie, bo tłumiała jego kroki i postukiwanie laski.

Na podeście zwrócił się w prawo i natychmiast zlokalizował intruzów: drzwi na samym końcu korytarza były uchylone, a przez szparę wylewała się na czarną posadzkę długa smuga złotego, rozmigotanego światła. Frank zaczął się skradać powoli w tym kierunku, zaciskając palce na lasce. Znalazszy się kilka stóp od drzwi, zobaczył przez szparę kawałek pokoju.

Na kominku palił się ogień. To go zaskoczyło. Zamarł w bezruchu i nasłuchiwał uważnie, bo z pokoju dobiegł go męski głos, pokorny i zalękniony.

— Jeśli mój pan i mistrz wciąż jest głodny, to w butelce jeszcze trochę zostało.

— Później — odpowiedział drugi głos. Też należał do mężczyzny, ale był dziwnie wysoki i zimny, jak nagły powiew lodowatego wiatru. Było w nim coś, co sprawiło, że rzadkie włosy na karku Franka stanęły dęba. — Przyśłoń mnie bliżej kominka, Glizdogonie.

Frank zwrócił ku drzwiom prawe ucho, żeby lepiej słyszeć. Rozległ się stuk butelki stawianej na jakiejś twardej powierzchni, a później szuranie, jakby po podłodze przesuwano ciężkie krzesło. Frank uchwycił spojrzeniem drobne-go mężczyznę, odwróconego plecami do drzwi i popychającego fotel. Miał na sobie długi czarny płaszcz, a na czubku jego głowy bieląła łysina. Po chwili zniknął z pola widzenia.

— Gdzie jest Nagini? — zapytał zimny głos.

— Ja... ja nie wiem, panie — odpowiedział lękliwie pierwszy głos. — Chyba wybrała się na zwiedzanie domu...

— Musisz ją wydoić, zanim udamy się na spoczynek, Glizdogonie — rzekł drugi głos. — W nocy będziesz musiał mnie nakarmić. Ta podróż bardzo mnie zmęczyła.

Zmarszczywszy brwi, Frank przybliżył swoje dobre ucho jeszcze bardziej do drzwi, wytężając słuch. Po chwili ciszy znowu zabrzmiał głos Glizdogona.

— Panie mój, czy mogę zapytać, jak długo tu zostaniemy?

— Tydzień — odrzekł zimny głos. — Może dłużej. To dość wygodne miejsce, a na razie musimy powstrzymać się od działania. Byłoby głupio zabrać się do urzeczywist-

nienia naszego planu przed zakończeniem mistrzostw świata w quidditchu.

Frank wsadził do ucha sękaty palec i mocno nim pokręcił. Pewno nagromadziło się sporo woskowiny, pomyślał, bo usłyszałem „quidditch”, a przecież nie ma takiego słowa...

— Mistrzostw świata w quidditchu? — powtórzył Glizdogon. (Frank jeszcze gorliwiej pogrzebał w uchu). — Wybacz mi, panie, ale... nie rozumiem... dlaczego mielibyśmy czekać na zakończenie mistrzostw świata?

— Dlatego, głupcze, że właśnie w tej chwili zjeżdżają się do kraju czarodzieje z całego świata i każdy tajniak z Ministerstwa Magii jest na służbie, wypatrując jakichkolwiek oznak niezwykłości i sprawdzając tożsamość każdego, kto mu się nawinie. Będą wariować na punkcie bezpieczeństwa, żeby mugole czegoś nie zauważyli. Dlatego musimy czekać.

Frank przestał sobie czyścić ucho. Wyraźnie usłyszał słowa: „Ministerstwo Magii”, „czarodzieje” i „mugole”. Nie ulegało wątpliwości, że te wyrażenia mają jakieś tajne znaczenie, a Frankowi przychodziły do głowy tylko dwa rodzaje ludzi, którzy mogliby mówić szyfrem: szpiegdy i przestępcy. Zacisnął dłoń na lasce i wyteńczył słuch.

— A więc wasza lordowska mość jest zdecydowany? — zapytał cicho Glizdogon.

— Tak, Glizdogonie, jestem zdecydowany. — W zimnym głosie zabrzmiała nuta groźby.

Nastąpiła chwila milczenia, a później przemówił Glizdogon, wyrzucając z siebie szybko słowa, jakby się bał, że straci odwagę, zanim je wypowie.

— Panie mój, to można zrobić bez Harry'ego Pottera. Znowu pauza, tym razem dłuższa, a potem...

— Bez Harry'ego Pottera, powiadasz? — powtórzył drugi głos z jadowitą łagodnością. — Ach tak, rozumiem...

— Panie, nie mówię tego ze względu na chłopaka! — zawołał piskliwym głosem Glizdogon. — Nic dla mnie nie znaczy, nic a nic! Uważam tylko, że gdybyśmy wykorzystali innego czarodzieja albo czarownicę... kogokolwiek... to moglibyśmy dokonać tego o wiele szybciej! Gdybyś mi pozwolił, panie, oddać się na jakiś czas... a wiesz, że potrafię zmienić się tak, że nikt mnie nie rozpozna... wróciłbym tu za dwa dni z jakąś odpowiednią osobą...

— Tak, to prawda... — powiedział cicho pierwszy głos. — Mógłbym użyć innego czarodzieja...

— Panie mój, to naprawdę rozsądne wyjście. — W głosie Glizdogona dało się wyczuć wyraźną ulgę. — Trudno by było porwać Pottera, jest tak dobrze strzeżony...

— A ty chciałbyś pójść na ochotnika po kogoś innego? Zastanawiam się, Glizdogonie... czy nie zmęczyło cię już pielęgnowanie mojej osoby... czy ta propozycja nie jest czasem próbą porzucenia mnie na zawsze?

— Panie! Mistrzu! Ja... ja wcale nie chcę cię opuścić, ależ skąd...

— Nie kłam! — zasyczał drugi głos. — Przede mną nie można kłamać, zawsze to wykryję! Żałujesz, że w ogóle do mnie wróciłeś, Glizdogonie! Czujesz do mnie odrazę! Widzę, jak się wzdrygasz, gdy na mnie spojrzysz, czuję, jak drżysz, kiedy mnie dotykasz...

— Nie! Moje przywiązanie do waszej lordowskiej mości...

— Twoje przywiązanie to zwykłe tchórzostwo. Nie byłoby cię tu, gdybyś miał dokąd pójść. Jak mam tu przetrwać bez ciebie, skoro muszę być karmiony co kilka godzin? Kto wydoi Nagini?

— Jesteś już o wiele silniejszy, mój panie...

— Kłamiesz — wycedził zimny głos. — Wcale nie jestem silniejszy, a jak ciebie nie będzie przez parę dni, to utracę i tę odrobinę zdrowia, którą odzyskałem pod twoją niezdarną opieką. Zamilcz!

Glizdogon, który bełkotał coś niewyraźnie, natychmiast umilkł. Przez kilka sekund Frank słyszał tylko trzaskanie ognia w kominku. Potem drugi mężczyzna znowu przemówił, tym razem szeptem przywodzącym na myśl syk węża.

— Jak już ci wyjaśniałem, mam swoje powody, dla których chcę użyć właśnie tego chłopca. Chcę jego i tylko jego. Czekałem na to trzynaście lat. Parę miesięcy więcej nie stanowi różnicy. Wiem, że chłopiec będzie wyjątkowo dobrze chroniony, ale wszystko dokładnie zaplanowałem. Potrzebna mi jest tylko twoja odwaga, Glizdogonie, i tę odwagę musisz w sobie znaleźć, jeśli nie chcesz odczuć pełni gniewu Lorda Voldemorta...

— Panie, pozwól coś powiedzieć swemu wiernemu słudze! — przerwał mu Glizdogon, a w jego głosie zabrzmiało prawdziwe przerażenie. — Przez całą naszą podróż rozmyślałem nad tym planem... Panie mój, przecież wkrótce zauważą, że Berta Jorkins zniknęła, a jeśli posuniemy się dalej, jeśli rzucę zaklęcie...

— Jeśli? — zasyczał pierwszy głos. — *Jeśli?* Jeśli będziesz postępował zgodnie z planem, Glizdogonie, ministerstwo nigdy się nie dowie, że ktoś jeszcze zniknął. Zrobisz to po cichu, bez zamieszania... Bardzo bym chciał zrobić to sam, ale w moim obecnym stanie... Pomyśl, Glizdogonie, trzeba tylko pokonać jeszcze jedną przeszkodę i droga do Harry'ego Pottera stanie przed nami otworem. Nie żądam od ciebie, żebyś zrobił to sam. Wkrótce pojawi się mój wierny sługa...

— *Ja* jestem twoim wiernym sługą — rzekł Glizdogon, a w jego głosie zabrzmiała nuta ponurego rozżalenia.

— Glizdogonie, potrzebny mi jest ktoś z tęgą głową, godny zaufania i do końca mi oddany, a ty nie spełniasz żadnego z tych warunków.

— Odnalazłem cię, panie — powiedział Glizdogon, teraz już wyraźnie nadąsany. — To ja ciebie odnalazłem. To ja ci sprowadziłem Bertę Jorkins.

— To prawda — rzekł drugi mężczyzna z lekkim robawieniem. — To wyczyn, którego się po tobie nie spodziewałem, Glizdogonie... chociaż, prawdę mówiąc, kiedy ją złapałeś, na pewno nie wiedziałeś, jak bardzo okaże się pożyteczna, co?

— Ja... ja myślałem, że ona może się przydać, panie...

— Kłamiesz — powtórzył pierwszy głos jeszcze wyraźniej szyderczym tonem. — Nie przeczę jednak, że jej informacje okazały się bardzo cenne. Bez niej nie obmyśliłbym naszego planu. Otrzymasz za to nagrodę, Glizdogonie. Pozwolę ci wykonać dla mnie bardzo ważne zadanie, tak ważne, że każdy z moich zwolenników dałby sobie odrąbać prawą rękę, byle je otrzymać...

— N-naprawdę, mój panie? Co... — Teraz w głosie Glizdogona ponownie zabrzmiało przerażenie.

— Ach, Glizdogonie, chyba nie chcesz, żebym ci zepsuł niespodziankę? Swoją rolę odegrasz na samym końcu... ale przyrzekam ci, będziesz miał zaszczyt okazania się równie użytecznym, jak Berta Jorkins.

— A więc... a więc... — wyjąkał Glizdogon ochrypłym głosem, jakby nagle zaschło mu w ustach — zamierzasz... mnie również... zabić?

— Och, Glizdogonie, Glizdogonie — rzekł łagodnie zimny głos — czemu miałbym cię zabijać? Zabiłem Ber-

tę, bo musiałem to zrobić. Po przesłuchaniu nie nadawała się już do niczego. A zresztą mogłyby paść niewygodne pytania, gdyby wróciła do Ministerstwa Magii i oznajmiła, że podczas urlopu spotkała właśnie ciebie. Czarodzieje uważani za zmarłych chyba nie powinni spotykać w przydrożnej gospodzie czarownic z Ministerstwa Magii, prawda?

Glizdogon mruknął coś tak cicho, że Frank nie dosłyszał słów, ale drugi mężczyzna roześmiał się — a był to śmiech zimny jak jego mowa, całkowicie pozbawiony wesołości.

— Powiadasz, że mogliśmy zmodyfikować jej *pamięć*? Potężny czarodziej potrafi przełamać każde zaklęcie zapomnienia, co udowodniłem, kiedy ją przesłuchiwałem. Byłoby ujmą dla jej *pamięci*, gdybyśmy nie wykorzystali informacji, które z niej wydarłem, Glizdogonie.

Frank, przyczajony za drzwiami, poczuł nagle, że jego ręka ściskająca laskę zrobiła się śliska od potu. Ten człowiek o lodowatym głosie zabił jakąś kobietę. Mówi o tym bez żadnych skrępułów — z *rozbawieniem*. To groźny szaleniec! Szaleniec, który planuje nowy mord... Ten chłopiec, Harry Potter, kimkolwiek jest... znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie...

Wiedział, co powinien zrobić. Nadszedł czas, aby iść na policję. Wykradnie się z domu i pospieszy ile sił w nogach do budki telefonicznej w wiosce... Ale zimny głos ponownie przemówił i Frank zamarł, zamieniając się w słuch.

— Jeszcze jedno zaklęcie... wierny sługa w Hogwarcie... i Harry Potter jest mój, Glizdogonie. To już postanowione. Nie życzę sobie żadnych sprzeciwów. Ale cicho... chyba słyszę Nagini...

I nagle jego głos się zmienił. Zaczął wydawać z siebie takie dźwięki, jakich Frank jeszcze nigdy nie słyszał: syczał

i prychał bez zaczerpnięcia oddechu. Frank pomyślał, że to jakiś atak apopleksji.

A później usłyszał coś za sobą w ciemnym korytarzu. Odwrócił się i sparaliżowało go ze strachu.

Coś pełzło ku niemu po podłodze mrocznego korytarza, a kiedy zbliżyło się do pasma światła padającego przez szparę, przeszył go dreszcz przerażenia. Miał przed sobą olbrzymiego węża, mierzącego co najmniej dwanaście stóp. Frank, skamieniały z przerażenia, wpatrywał się w wijące się cielsko, które zbliżało się coraz bardziej i bardziej, pozostawiając szeroki, kręty ślad na zakurzonej posadzce... Co robić? Dokąd uciec? Jedyne miejsce ucieczki to pokój, w którym dwaj mężczyźni planują morderstwo... ale jeśli nie ruszy się z miejsca, wąż z pewnością go uśmierci...

Zanim jednak zdążył podjąć decyzję, wąż już się z nim zrównał, a potem — nie do wiary! — minął go, wabiony sykiem wydobywającym się z ust tamtego mężczyzny, i po chwili w szparze drzwi zniknął koniec jego ogona, nakrapiany lśniąco jak diamenty plamkami.

Po czole Franka spływały stróżki potu, a ręka dzierżąca laskę dygotała. W pokoju wciąż rozlegało się syczenie i prychanie, a Franka nawiedziła dziwna, zupełnie niewiarygodna myśl... *Ten człowiek potrafi rozmawiać z wężami.*

Frank nic z tego nie rozumiał. W tej chwili pragnął tylko jednego: znaleźć się z powrotem w łóżku z butelką gorącej wody pod kołdrą. Kłopot w tym, że nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Za nic nie chciały się poruszyć. I kiedy tak stał, próbując opanować dygotanie, zimny głos przemówił, znowu po angielsku:

— Nagini przyniosła interesującą wiadomość, Glizdogonie.

— N-naprawdę, mój panie?

— Naprawdę — rzekł zimny głos. — Nagini twierdzi, że za drzwiami stoi jakiś stary mugol i podsłuchuje, co tu mówimy.

Frank nie miał żadnych szans na ucieczkę. Usłyszał zbliżające się kroki i drzwi otworzyły się gwałtownie na całą szerokość.

Stał przed nim niski, łysiejący mężczyzna z resztką siwych włosów, długim, spiczastym nosem i wodnistymi oczkami; na jego twarzy malowała się mieszanina czujności i strachu.

— Zaproś go do środka, Glizdogonie. Gdzie się podziały twoje dobre maniery?

Zimny głos dobiegał ze starego fotela stojącego przed kominkiem, ale Frank nie widział tego, kto w nim siedzi. Wąż zwinął się na przegniłym dywaniku przed kominkiem, jak jakaś straszna parodia domowego psa.

Glizdogon gestem zaprosił Franka do pokoju. Choć Frank wciąż był okropnie wstrząśnięty, ścisnął mocniej laskę i przekuśtykał przez próg.

Jedynym źródłem światła był ogień z kominka, który rzucał na ściany długie, pająkowate cienie. Frank wlepił oczy w oparcie fotela. Siedzący w nim mężczyzna musiał być jeszcze niższy od swojego sługi, bo Frank nie widział czubka jego głowy.

— Słyszałeś wszystko, mugolu? — odezwał się zimny głos.

— Jak mnie nazwałeś? — zapytał Frank wyzywającym tonem, bo teraz, kiedy już znalazł się w środku i nadszedł czas, by działać, poczuł przypływ odwagi. Na wojnie było tak samo.

— Nazwałem cię mugolem — odrzekł chłodno głos. — To oznacza, że nie jesteś czarodziejem.

— Nie wiem, co przez to rozumiesz — powiedział Frank nieco pewniejszym tonem. — Wiem tylko, że usłyszałem dość, aby zainteresować tym policję. Tak, mój panie. Popełniłeś jakieś morderstwo i planujesz następne! I powiem ci coś jeszcze — dodał, bo nagle przyszło mu to do głowy. — Moja żona wie, że tu jestem, i jeśli nie wrócę...

— Nie masz żony — przerwał mu spokojnie zimny głos. — Nikt nie wie, że tu jesteś. Nie powiedziałaś nikomu, dokąd idziesz. Nie kłam przed Lordem Voldemortem, mugolu, bo on to pozna... zawsze poznaje...

— Czyżby? — zapytał szorstko Frank. — A więc mamy do czynienia z lordem? Jakoś nie widzę, żebyś miał lordowskie maniery. Bo niby dlaczego nie odwrócisz się i nie spojrzysz mi w oczy jak człowiek?

— Bo ja nie jestem człowiekiem, mugolu — zasyczał zimny głos, a Frank ledwo go dosłyszał wśród trzasku szczap płonących w kominku. — Jestem kimś o wiele, wiele większym. Ale... dlaczego nie? Pokażę ci swoją twarz... Glizdogonie, odwróć mój fotel.

Sługa jęknął cicho.

— Słyszałeś, co powiedziałem?

Powoli, z takim grymasem na twarzy, jakby wolał zrobić wszystko, tylko nie zbliżyć się do swojego pana i do dywanika, na którym spoczywał wąż, drobny człowieczek podszedł do fotela i zaczął go odwracać. Wąż uniósł swój ohydny, trójkątny łeb i zasyczał cicho, kiedy nogi fotela zawadziły o dywanik.

Sługa odwrócił fotel i Frank wtedy zobaczył, kto, albo raczej *co* w nim siedzi. Laska wypadła mu z ręki i z łoskotem wylądowała na podłodze. Otworzył usta i krzyknął. Krzyczał tak głośno, że nie słyszał słów, które wypowiedziało to

cos w fotelu, kiedy podniosło różdżkę. Błysnęło zielone światło, huknęło, i Frank Bryce zgiął się wpół. Kiedy upadł na podłogę, był już martwy.

Dwieście mil od tego miejsca pewien chłopiec, który nazywał się Harry Potter, przebudził się nagle, dygocąc ze strachu.